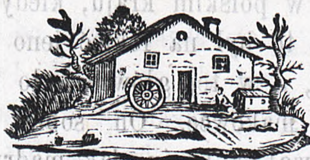
Nr. 4. 28. Lutego 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Władysław Łokietek i Wicek Szamotulski.

(Napisał ks. Wojciech z Zaleszan).



Władysław Łokietek.

Było to dobrze w polskim kraju, kiedy był królem Władysław Łokietek, co to był na łokieć jeno wyrosły, ale za to miał główkę nielada, a w tej główce było tyle mądrości, ile maku słodkiego w makówce. On sobie siedział w pałacu w Krakowie i gazdował w kraju, jak mądry i pobożny gazda na swoim kawałku.

Ale bo też i królowa, jego żona, była strasznie miluchną i miłosierną panią. I nie dziw temu, bo była już takiego rodu: ojciec jej Bolko, był nazwany pobożnym i siedział w mieście Kaliszu, ni to jaki zakonnik, a matka jej Helena została świętą, a święto jej przypada u nas na same wielkie żniwa. Toć to święta prawda, co gadają wszyscy Polacy: Jaki młynarz, taki młyn, jaki ojciec, taki syn; jaki przodek, taki zad. — Toż sam Ojciec św. aż w Rzymie znał dobrze króla i królowę z pobożności, a sam król za młodu chodził na jubileusz św. do Rzymu piechotą, a to droga daleka, moi dobrzy, bo z Krakowa szedł on przez Węgry ku południowi, nim stanął w Rzymie na sam czas. A jak wiecie, to dobrym i pobożnym ojcom, daje Bóg błogosławieństwo w dom i po za dom.

Tak też dał Bóg i królowi Łokietkowi wszystko dobre na jego stare lata, a całe błogosławieństwo swoje zlał na jego syna Kazimierza, a ten był jedynakiem i tak dobrym królem, że go do dziś pamiętają Polacy i żydzi, i cały świat, a od polskich chłopów jest on nazwany: królem chłopków.

Otóż jak ten jedynak króla Łokietka podrósł już na dobrego chłopaka i znał się dobrze na wszystkiem, to Ojciec stary i siwiutki mówi:

Dajmy naszemu królewiczowi jaką część do gospodarstwa, aby się przy nas wyuczył dobrze i pobożnie gospodarzyć, aby sobie potem dał radę, jak nas Bóg pozabiera z tego świata. I ułożyli sobie oboje starzy, król i królowa, posłać dorosłego jedynaka Kazia do Wielkopolski, oddać mu tam panowanie i przypatrzyć się dobrze jego rządom.

W Wielkopolsce gazdował wtedy z nakazu króla niejaki Wincenty Szamotulski, co był tam jenerałem polskim i doglądał granicy od północy, aby tamtędy nie leźli do Polski na rabunek Krzyżacy. I było tam temu jenerałowi Wincen-

temu bardzo dobrze, bo gdzie gazda stary, dobry i pobożny, tam i sługom dobrze! Bo co to dla tego Wincentego było, mieć tyle kraju polskiego od Jasnej góry, gdzie stoi nasza Częstochowa, aż ku północy, gdzie znowu leży nasz Gdańsk, dokąd nasi idą na flis, a potem znowu od miasta polskiego Poznania, aż ku Warszawie naszej prześlicznej? To nie żart mieć jakie sto mil ziemi tam i nazad i na wszystkie boki, a do tego mieć lasy, wody z rybami, wsie z młynami, miasta i kościoły a także pieniążki wielkie, żeby się nie wlazły do jednej kieszeni. Toć to było miejsce jedyne na całym świecie dla takiego Wicka, i było jeno dobrze doglądać wszystkiego, robić ludziom dobrze, Boga chwalić, a króla starego szanować i ręce mu całować. Ale gdzie tam było to na myśli Wincentemu Szamotulskiemu. Otóż tak chciał sobie Wincenty z królem, staruszkiem pobożnym, źle postąpić. Ale król posłał swego jedynaka królewicza do owego Wicka i powiedział mu pięknie:

— Oto mój Wincenty jenerale! posyłam ci moje jedyne i ukochane dziecko, doglądaj go jak oka swego, radź mu na dobre jak ojciec i ucz go gazdować, aby po mojej śmierci był dobrym gospodarzem w polskim kraju, a ja to kiedyś tobie albo twoim dzieciom odpłacę!

Ów Wincenty przyjął niedobrze królewicza, bo nie chciał mieć nikogo przy sobie, aby mógł robić, co jeno sam żywnie zechce, potem rozgniewał się strasznie na starego króla, że mu odbierał dozór nad takiemi krajami i tak się zażarł, że jeno chodził po całych nocach i rozmyślał, coby tu zrobić takiego, aby się pozbyć owego królewicza. I dobrze to mówią:

Kto się na kogo gniewa,
Taki Boga w sercu nie ma;
On by i sprzedał drugiego,
Aby się pozbyć jego.

— Otóż i ten niedobry Jenerał Wincenty dumał i dumał, ale dumał i wymyślał grzesznie, toć i przedumał. Zmówił on się na królewicza z drugimi niekrajanami i przybłędami i powiedział im tak:

— Pomóżcie mi w nocy napaść na tego Kazia, jak on sobie będzie spał na dobre, a tak go wyciągniemy z łóżeczka żywego, zwiążemy mu ręce i nogi, a potem zrobimy z nim, co nam się żywnie spodoba.

I zmówili się cichutko Krzyżacy z Wickiem, aby złapać żywego królewicza, a potem go zabić, albo wytargować za niego od starego ojca i biednej matki, co jeno będzie można.

Ale to do takiego grzechu strasznego nie należał żaden wtedy Polak, ani ksiądz, ani pan, ani chłop, ani żyd, jeno sam jeden jak palec ów Wicek i rozmaici przywłoki do polskiego kraju.

I ułożyli sobie noc i godzinę i miejsce, gdzie się mieli zejść, a potem razem wpaść do miasta i zabrać królewicza, a rzeczy jego zrabować. Ale dobrze to mówią pobożni:

Bóg strzeże niewinnego
I stróż Anioł jego;
I we śnie twardym mu opowie,
Co się gotuje na jego krzywdę i zdrowie.

Otóż tak się stało i z owym Kaziem młodziutkim. Przed tym napadem, na jaki tydzień, przychodzi sobie do pałacu królewicza jakiś dziaduś polski, siwiutki jak kreda, a milutki jak aniołek i pochwalił pana Jezusa, i powiada:

— Zawołajcie no mi, słudzy dobrzy, waszego dobrego pana, a polskiego królewicza, bo ja mu mam coś do ucha powiedzieć, jeno prędziutko.

I wyleciał zaraz do dziadusia królewicz na dwór, powitał go pięknie, wydobył z kieszonki dukata jasnego i mówi:

— Oto masz, mój staruszku, jałmużnę, a proś Boga, aby mi dał zdrowia i moim ojcom starym. (C. d. n.)

Narodowość.

Zapewneście to już sami nieraz zauważali, że jest nie mało takich rzeczy na świecie, o których człowiek wie i doskonale to czuje, że są, chociażby mu nikt jeszcze należycie tego na rozum nie wyłożył. Któż z nas nie wie naprzykład,

że mu Bóg wszechmocny dał duszę? Zna to każdy, bo sam czuje to w sobie najlepiej, że przez nią tylko żyje, a przecie wypowiedzieć mu to jest trudno. Otóż podobnie ma się rzecz i z narodowością, którą Bóg również z osobna każdemu ludowi nadał. Wie o niej każdy i doskonale w sobie ją czuje, chociażby mu nigdy jeszcze do gadania o niej nie przyszło, i chociażby może tego wyrazić nie zdołał.

Narodowość ludu, to naprzód, jest jego własna osobna mowa, która jak od wieków po ojcach mu przyszła, tak i na wnuki i prawnuki jego przejść ma. Bo i jakżeby to bez onej własnej mowy i Panu Bogu serdeczną chwałę oddać, i przy okazyi ochoty zażyć, i z żałościami wzajemnie się wynurzyć. Wszakże to krom tego, w tej tylko jedynej mowie, czy to dzieciakom, czy podrosłemu ludowi, łacniej jest i zrozumieć wszystko, co jest potrzebne, poduczyć się czegoś nowego, boć to mowa własnego naszego rozumu i serca, więc też zaraz i serce na jej głos się otwiera i w głowie bez trudu jakoś od razu świta.

Narodowość ludu, to ziemia jego z osiadłem na niej to z osobna, to po rozległych siołach i miastach jakoby jednem rodzeństwem. Ziemia dlań uświęcona i droga, bo jak żywiła jego ojców i dziadów i przechowuje ich kości, tak żywić będzie ich dzieci i wnuki, i kiedyś również do spoczynku ich przyjmie. A jakoż mógłby się ostać i dom nasz boży i cmentarz, i własna zagroda i zagon, jeżelibyśmy ziemi własnej nie mieli. Oj biednyż to, biedny lud ten, którego tak już Pan Bóg pokarze, że mu aż ziemię jego odejmą. Już jemu nie zapanować na swojem; iść musi na służalstwo i poniewierkę i hańbę, i przychodzi mu na to, że mu w ostatku i samego siebie jest wstyd. Kochajmyż więc i szanujmy tę ziemię naszą, i pilnujmy jej, jakoby oka w głowie.

Narodowość ludu, to i strój i strawa jego według nieba, pod którem mu Pan Bóg naznaczył mieszkanie, i pieśń i taniec, i zwyczaj i obyczaj jego, według własnego rozumienia i serca, a i to i tamto całkiem od innych ludów odmienne. To też popytajcie tych, co to im przyszło przez czas dłuższy zdala od swoich i wszystkiego swego się tułać, a z płaczem

rozpowie każdy, jak to mu tam gorzko dzień za dniem upływał, a nie jeden z onej tęsknoty tam nawet i umarł.

Narodowość wreszcie, to i wszystkie od najdawniejszych czasów ludu pamiątki, i wszystkie jego na przyszłe czasy nadzieje. Dobre i złe, chluba i srom, przez jakie go Bóg dotąd już przeprowadził, i rozmaite powodzenie, jakiego ta jego ziemia już doznała: wszystko to on nosi wiernie w swojej pamięci i w sercu, i przekazuje to dzieciom, i rozochaca tem i siebie i swe potomstwo, ażeby nie żałowali starania dla wspólnej pomyślności, i przebłagiwali i upraszali Boga, iżby na przyszłość samo już tylko dobro i chluba dla wszystkich była.

Patrzcie więc, jakie to drogie dla każdego człowieka są rzeczy, które narodowością zowiemy. Wszakże to mieszczą się w niej wszystkie jego na tym świecie uciechy, bo wszystko, co i najbliższe jest jego sercu i co on najlepiej rozumie. Ludzie zaś jednakiej narodowości, to jest, których mowa, zwyczaje i różne powszednie potrzeby są do siebie podobne, którzy czy to w myślach, czy w smutkach lub radościach swoich na wskroś się rozumieją, i których połącza ze sobą jeden interes, jedna pamięć doli wespół od wieków przebytej i jedna nadzieja na przyszłość, i którzy mają na ten sposób jakoby jedną myśl i jedno wspólne serce: ludzie tacy stanowią jeden naród.

A jeżeli każdemu z nas, skoro mu się zdarzy na obczyznę zabłąkać, trudno nawyknąć do onych tam i zwyczajów i strawy i twarzy, i chodzi śród nich jak gdyby niemy, i tęskni za swoimi i dać sobie rady nie może, a trzyma się tylko nadzieją, że kiedyś pomiędzy swoich powróci — to cóżby to było dopiero, gdyby człek i pośród swoich tych upragnionych uciech żywota według własnego serca i myśli nie mógł już znaleźć, jak skoroby naród narodowość swoją utracił, lub skoroby mu onej swobodnie używać nie było wolno.

Lud bez narodowości, to istne ciało bez duszy, to jakby garnek rozbity, co to już ani za uderzeniem nie zadzwoni dźwięcznie, ani zeń jakiś rzetelny pożytek być może.

Ignacy Marchocki,

sławny dziwak.

(Dokończenie).

Podczas sejmu i zebrania Rady stanu, albo trybunału, był pan Marchocki, jako naczelnik, ubrany po rzymsku, w długiej, w krwisto-czerwonej sukni; siadał na krześle podobnego koloru, przed stolikiem, który również taką szkarłatną materją był nakryty.

Wyglądał on pięknie i uroczyście, do czego przyczyniała się jego długa, bielutka broda, wielki kapelusz na głowie, złocista laska w ręku i aksamitny płaszcz, na togę zarzucony.

Każdą sprawę roztrząsano szczegółowo; głosowano za nią lub przeciw niej, a potem z pewną uroczystością ogłaszano prawa i wyroki, od których nie wolno było uchylić się nikomu.

Udzielny książę w swojem państwie, pan Marchocki, kazał dla dogodności robić nawet papierowe pieniądze, i te miały wartość w całem jego państwie. Można było za nie sprzedawać i kupować towary.

Rolnictwo kwitnęło w owem dziwnem państwie, bo pan Marchocki szczególnym był jego opiekunem. Powymyślał jakieś święta rolnicze i te obchodził z całą okazałością. Kiedy na wiosnę znikły śniegi i lody, a ptactwo przelotne oznajmiło, że uprawę ziemi rozpocząć można, spraszał pan Marchocki ludzi swoich wiosek i wyruszał z nimi w pole. Tu, jak ów cesarz chiński, który podług przyjętego zwyczaju corocznie pierwszy zaoruje pługiem ziemię po uroczystem nabożeństwie także pierwszy poruszał ziemię pługiem, poczem gorącemi słowy przemawiał do ludzi wiejskich. Ci potem gromadzili się u niego, a on częstował hojnie i nakazywał uprawę ziemi.

W jesieni znowu obchodzili święto Cerery, bogini, którą czcili pogańscy Grecy i Rzymianie, i uważali ją za opiekunkę zbóż i owoców, a więc karmicielkę ludów.

W święto Cerery odbywały się obżynki w minkowieckiem państwie. Uroczystość to była wielka. Dziewczęta ze wszystkich wiosek, najschludniej poubierane, z wieńcami z złotych kłosów pszenicy na głowie, okalały Cererę, którą udawała jedna z córek pana Marchockiego. Sam książę minkowiecki, najwspanialej ustrojony, postępował wśród licznie zgromadzonych gospodarzy i sędziów trybunału. Cała taka procesja udawała się w pola i tam przed ustawionemi ołtarzami odprawiały się rozmaite nabożeństwa.

Bogini Cerera nie chodziła piechotą, ale siedziała na wielkiem krześle, a to krzesło nosiły dziewczęta wiejskie. Procesya postępowała z pewną powagą, bez żartu i pustoty. Oprócz kmiotków znajdowali się na niej i goście z okolicy.

Po ukończeniu dziwnego obrzędu w polach, szli wszyscy do mieszkania pana Marchockiego, gdzie rozpoczęła się suta uczta, śpiewy i tańce. Każdy też bawił się w wesołości, bo i było się z czego weselić, ale nie można było odznaczyć się jakiem grubijaństwem albo bitką.

Tak to rządził pan Marchocki w swojem państwie. Córki jego nie mogły sobie same wybierać mężów, ale musiały zgadzać się z wolą ojca i pójść za tego, którego on przedstawił na męża. W ten sam sposób chciał sobie postąpić z synem swoim, niby następcą tronu. Ale nieposłuszny synal wybrał sobie małżonkę pokryjomu. Miał też za to cierniową koronę od rodzica swego do znoszenia.

Książę Marchocki nie znosił w swojem państwie zalotników, ale jak mówiłem wyżej, sam dla dziewcząt wybierał mężów.

Zdarzyło się atoli razu pewnego, że do ogrodu przytulijskiego zakradł się był jeden śmiałek, który zobaczył córkę pana Marchockigo, upodobał ją sobie i ośmielił się prosić o jej rękę.

Pan Marchocki wziął tę sprawę za wielką obrazę i owego śmiałka kazał uwięzić w zamkowych lochach. Następnie zwołał zgromadzenie wszystkiego ludu i kazał mu sądzić, albowiem śmiałek ów lekkomyślnością swoją obraził dziewczęta minkowieckiego państwa.

Zapadł wyrok. Sproszono dziewczęta, jako obrażone. Wtedy pan Marchocki kazał wypuścić więźnia. Każda z dziewcząt splunęła na niego za obrazę, a potem wszystkie wypędzały go na wieczne czasy z minkowieckiego państwa.

Pomimo tych dziwactw, był jednak pan Marchocki dobrym Polakiem. Żył z wszystkimi w okolicy w wielkiej przyjaźni i miał u nich dobre oko.

Gdy były wybory, nie obeszło się na nich bez Marchockiego. Jeździł na każde i ciął się do ostatniego za słuszność i prawdę. Z tego powodu nie szczędzono mu pochwał i chętnie słuchano jego rady. Zresztą umiał sobie tyle nadać powagi, że jenerałom na znak uszanowania, dawał ręce do całunku, a oddałby się Bogu, ktoby się odważył z nim zadrzeć.

Każdemu harde stawiał czoło. Nawet z rządowemi figurami, jak z gubernatorem i ajentami, darł koty bez przestanku.

Owe słupy graniczne uchodziły mu więc płazem, choć każdy je widział. Pan Marchocki żył sobie na prawdę jakby jaki książę i nikt mu nauki i poczciwości nie odmawiał.

Rządził w swojem państwie dosyć długo. Aby jednak w niepamięć nie poszły jego dzieje, utrzymywał na dworze swoim umyślnego pisarza, który miał obowiązek spisywać wszystkie jego czyny i słowa wymówione.

Wybudował nareszcie kościół i kazał go pokryć słomą. Co niedziela śpiewał w nim pieśni swojego układu i psalmy Dawida, które podobno sam tłumaczył z języka hebrajskiego, czyli żydowskiego. Potem wychodził na ambonę i karcił ludzi za rozmaite wady i przywary.

Te i tym podobne sprawy doprowadziły do tego, że pana Marchockiego uwięziono w Kamieńcu podolskim, które to miasto jest stolicą Podola rosyjskiego.

Kiedy właśnie wtenczas przyjechał na Podole car Aleksander I., pan Marchocki uciekł z więzienia.

Car Aleksander powiedział do swych urzędników:

— Uwolnijcie tego człeka; on ma pomięszanie w głowie i nie może dziwactwami swemi szkodzić ludziom!...

I puszczono na wolność Marchockiego. Przybył do swojego państwa, urządził prześliczny ogród i znowu panował po dawnemu.

Po śmierci jego objął syn majątek zadłużony.

Józef z Bochni.

Stach i Marysia.

STACH.

Marysia ma droga,
Moje sto tysięcy,
Nie wiem, czy odemnie
Kocha cię kto więcej? . . .

Powiedz tylko słowo,
A pójdę do matki,
I ty pójdziesz za mnie,
Pójdziesz do mej chatki! . . .

MARYSIA.

Że mię kochasz, o tem
Gadają chłopacy,
Aleś ty, mój miły,
Nie skory do pracy.

I cóż mi po mężu,
Coby tylko siedział? . . .
I nic nie pracował
O niczem nie wiedział? . . .

Nie pomoże miłość,
Gdy praca nie składa;
A gdzie w chacie bieda —
Tam będzie i zwada. . .

STACH.

Jak te mrówki drobne,
Co to wznoszą kopiec,
Taki pracowity
Będzie ze mnie chłopiec:

Będę wcześnie wstawał,
Późno szedł do łoża,
Tylko mi daj słowo,
O Marysiu hoża!

MARYSIA.

Pierwej się mi popraw,
Ja ci się nie zmienię;
A potem z ochotą
Dam ci przyrzeczenie.

Dziś nic jeszcze z tego
Na później ślub zwlekam;
Popraw się mój miły,
To na cię poczekam!

Józef z Bochni.

Ciemiernik.

Ciemiernik c z a r n y, znany jest u nas w kraju, szczególniej w Karpatach, gdzie rośnie w cienistych lasach. Jest to roślina trwała, to jest wytrzymująca zimę. Z korzenia wyrastają łodygi, a z tych w lutym i w marcu, gdy jeszcze śniegi pokrywają ziemię, rozwijają się kwiatuszki koloru białego. Ciemiernik jest to roślina jadowita; najwięcej jadu zawierają włókna, rozchodzące się od korzeni. Ich zapach jest mocny i nieprzyjemny, smak zaś z początku nieco gorzki i tak mocno palący, iż po skosztowaniu, język zdaje się być skołowaciały. Świeży korzeń przyłożony na ciało sprawia zaognienie i naciąga pęcherze; zadany wewnętrznie, sprawia ból w



Ciemiernik.

żołądku, gwałtowne wymioty, kurcze, mdłości i krwiotoki. Proszek sporządzony z korzenia, wciągany do nosa jak tabaka, wzbudza mocne kichanie. Pomimo tych szkodliwych własności, używają w aptekach korzenia tej rośliny do różnych leków konowałowie zaś przeciw nosaciźnie i dychawicy u koni.

Przystęp pospolity.

Roślina ta wszystkim zapewne znana, rośnie u nas po ogrodach, gdzie czepia się płotów i okrywa je zielonością.


Przystęp pospolity.

Przypatrzcie się jej na rycinie, a poznacie zaraz. Liście przystępu niby wykrojone w łapki, po obu stronach kosmate, pręt gibki i wspinający się wysoko do góry, z wąsikomi dla chwytania się do płotu, albo innych gałęzi, kwiat zaś z kielichami ząbkowanemi. Z kwiatów tych rozwijają się i dojrzewają w jesieni okrągłe jagody wieloziarniste. Korzeń nareszcie wielki, nieraz grubości kolana, wytrzymuje największe mrozy. Smak jego jest przykry, a zapach nieprzyjemny.— Zażyty wewnętrznie, sprawia nudności i zawrót głowy. Dawniej używano go w aptekach do różnych leków, teraz jednak nie ma żadnego znaczenia. Ostatniemi czasy zaczęto robić z korzenia, który jest mięsisty i biały, krochmal, nieustępujący w dobroci krochmalowi z ziemniaków.

Zamek Odrzykoński.

Niedaleko miasta Krosna wznoszą się na wysokiej skale ruiny zamku Odrzykońskiego. Zwaliska takie spotykamy prawie wszędzie rozrzucone po całej Polsce. Służyły one za obronę przeciwko Turkom, Tatarom i Niemcom. Kiedy nasi sąsiedzi niezgodni napadli na kraj i pustoszyli go ogniem i mieczem, kiedy palili chaty, a ludność uprowadzali do niewoli, wtedy zamki te były jedynem schronieniem okolicznego ludu. Tam on znosił cały swój dobytek, sprowadzał rodzinę i najczęściej uchodził szczęśliwie przed powszechnym nieszczęściem.

Inne czasy — inne zwyczaje — inni ludzie; napady ustały, ustała więc i potrzeba zamków i rozsypały się wszystkie w ruinę, i stoją nagie, opuszczone, przypominając nam dawne czasy i dawne dzieje.

Ludek okoliczny opowiada sobie przeróżne gadki o skarbach zaklętych, o zaczarowanych księżniczkach, o walecznych śmiałkach, co je wybawiali, i ztąd często dla siebie piękną wyciąga naukę.

Sławny pisarz polski, Jakób Gordon, zebrał i spisał powiastki o zamku Odrzykońskim, a ponieważ są piekne i pouczające, więc je tu przytaczamy na pożytek i naukę naszym czytelnikom:

Niegdyś w lasach odrzykońskich miała być ukrytą jaskinia rozbójników, z której robili wyprawy na okolicę: palili i rabowali sioła, a po drodze odzierali kupców, jadących na jarmark do pobliskiego miasteczka Krosna.

Łupy znosili na kraniec lasu, gdzie oczekiwał koń, i obładowany zrabowanemi towarami, uchodził w głąb puszczy do ukrytej pieczary, a był dobrze do tego przyuczony.

Tam dopiero zdejmowali z niego towary.

Wieśniacy okoliczni, gdy im się rozbójnicy dali we znaki, zebrali się w liczną gromadę, zrobili obławę, wyłapali zbójców i wywieszali ich na najwyższych jodłach; — konia zaś

wyuczonego wspólnika, odarli ze skóry i puścili na postrach złym ludziom.

Potem ten las na górze wykarczowano; stanął na tem miejscu ogromny zamek, a koń, jak gdyby pokutnik, nie mógł zdechnąć; żył długo i wałęsał się odarty około zamku.

Odtąd wioskę i zamek nazwali ludzie Odrzykoniem.

Zamek miał wystawić magnat Bonar. Ten miał dwóch synów, więc jako poczciwy ojciec wybudował dla nich zamek podwójny, czyli dwa zamki o jednym dziedzińcu i jednej studni wspólnej, aby z niej bracia czerpali wodę w jedności i zgodzie.

To się atoli nie udało.

Bracia, jak się to zdarza między ludźmi, poważnili się z sobą o ową wspólną studnię i jeden drugiemu wejście na dziedziniec zamurował.

Rozgniewany do wściekłości brat, kazał wojsku swemu mury zburzyć; oba stoczyli z sobą przy studni bitwę i oba polegli bratobójczą dłonią. Ciała ich wrzucono do tejże samej studni, a ta zaraz się zasypała; zamek częścią się rozwalił, częścią zgorzał. I zobaczyli ludzie ową krwawą parę rodzonych braci, ulatującą w płomieniach gorejącego zamku, a od krwi bratniej czerwieniło się zachodzące słońce.

Odtąd w każdą rocznicę dnia tego krwawo słońce zachodzi i odziewa zwaliska czerwoną łuną; lud klęka i modli się za duszę Bonarów, bo w podziemiach słychać szczęk szabel i okropne jęki.

Jakiż to straszny przykład kary za krew przelaną w okropnej walce brata z bratem! A bratem naszym, to każdy bliźni, podług nauki Chrystusa, a przedewszystkiem ten, co jednakową z nami mówi mową, co na tej samej ziemi mieszka, co jednaką z nami wyznaje wiarę.

Inna powiastka, równie piękna i nauczająca, jaką sobie okliczny ludek opowiada, jest taka:

Wojewoda Firlej, pan możny i dumny, miał śliczną, ukochaną córkę jedynaczkę. Lubiła ona przesiadywać w wieżyczce, bo z tamtąd spoglądała na świat, gdy w zamczysku było jej ciasno, smutno i ponuro.

Jednego poranku przyprowadzili jakiegoś rycerza i wtrącili go do lochów podziemnych pod wieżą wojewodzianki.

Więzień tak pięknie śpiewał, że wojewodzianka zakochała się w śpiewie, choć nie widziała śpiewaka.

Raz pozwolił jej ojciec, aby go w dzień imienin o coś prosiła, a on wszystko dla niej uczyni. Prosiła tedy, aby wolno było więzionemu rycerzowi choć przez godzinę dziennie oddychać świeżem powietrzem.

Prośbę ojciec wysłuchał i przyjął.

Wyprowadzali odtąd nieszczęśliwego na jedną godzinę co dzień; on zaś siadał pod wieżą swojej opiekunki i coraz piękniej, coraz tkliwiej i tęskniej nucił swe piosenki, tak, że ptaszki zatrzymywały się w locie, aby się im przysłuchać.

Wojewodzianka uczuła, że bez niego żyć nie potrafi i nie taiła się z tem przed nikim.

Oburzony ojciec tak niestosowną miłością córki, kazał natychmiast więźnia stracić.

Za pół godziny wywiedli go z kaźni na dziedziniec. Na pożegnanie śpiewał smutną dumkę, gdy drżąca wojewodzianka w oknie wieży stała i ręką mu niebo ukazywała. Skoro zaś rozległ się odgłos od cięcia toporu, nieszczęsna wyskoczyła oknem i dwa duchy złączone uleciały w obłoki.

Dziewczęta widują dotąd śliczną twarz wojewodzianki, jak wygląda z okna wieżycy, i słyszą smętną nutę jej kokochanka.

(Dok. nast.)

Złote ziarna.

Książka dobra i nauka
Wiara w sercu, rozum w głowie
Statek w pracy, stałość w słowie:
W tem niech lud wolności szuka.

Jak kruk na brzydkie kiedy padnie ścierwy,
Oczy wykłuwać poczyna najpierwej,
Tym szatan kształtem, łowczy ten nie głupi,
Naprzód człowieku duszne oko łupi.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ścianę miotać
Próżna; tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

MARZEC ma dni 31.

Dni	święta rzymskie	święta ruskie
1 Piątek	Albina Biskupa Wyz.	18 Lwa Papy Rym.
2 Sobota	Heleny Cesarzowej	19 Subota zadusz.
3 Niedziel.	**3 Głucha** Kunegundy C.	20 **N Miasopust.** Lwa
4 Poniedz.	Kazimierza Kr. Pols. Wyz.	21 Tymoftea Prepod.
5 Wtorek	Fryderyka Opata	22 SS. MM. w Ewhen.
6 Środa	Kolety Panny i Marcyana B.	23 Połykarpa Jepis. M.
7 Czwart.	Tomasza z Akwinu Wyz.	24 Obrit. Hław. Joan.
8 Piątek	Jana Bożego W. i Beaty P.	25 Tarasia Archiep.
9 Sobota	Franciszki Rzym. Wdowy	26 Porfyria Archiep.
10 Niedziel.	**4 Środopostna** 40 Męcz.	27 **N Syropust.** Prok.
11 Poniedz.	Konstantego W. i Bogumiła	28 *Post. Weł.* Wasyłya
12 Wtorek	Grzegorza Pap. Wyz.	29 Kassyana Sergia
13 Środa	Krystyny Panny M.	1 *Marca* Jewdoki Mucz.
14 Czwart.	Zacharyasza i Matyldy Kr.	2 Fteodota Mucz.
15 Piątek	Izabelli i Leoncyi Panien	3 Jewtropia Mucz.
16 Sobota	Cyryaka Dyakona	4 Harasyma Prepod.
17 Niedziel.	**5 Biała** Gertrudy Panny	5 **N 1 Wstupna** Kon.
18 Poniedz.	Aleksandra B. M. i Edwarda	6 SS. 42 Mucz.
19 Wtorek	Józefa Obl. NMP.	7 Wasyłya Mucz.
20 Środa	Eufemii i Teodozyi MM.	8 Fteofyłykata Prepod.
21 Czwart.	Benedykta Opata Wyz.	9 SS. 40 Mucz.
22 Piątek	*7 Boleści NMP.* Katarz. Kr.	10 Kondrata Mucz.
23 Sobota	Oktawiana Męcz.	11 Sofronia Prepod.
24 Niedziel.	**6 kwietnia** Gabr. Arch.	12 **N 2 Postu** Fteofana
25 Poniedz.	SS. 262 Męczenników	13 Nikyfora Patryar.
26 Wtorek	Teodora Biskupa	14 Wenedykta Prepod.
27 Środa	Jana Pust. i Ruperta B. W.	15 Ahapia Mucz.
28 Czwart.	*Wiecz. Pańska* Syksta Pap.	16 Sawyna Mucz.
29 Piątek	*Wielki* Eustazego Opata	17 Alexia Prepod.
30 Sobota	*Wielka* Kwiryna Męcz.	18 Kyryłła Archiep.
31 Niedziel.	**Wielk. Zmart.** Balb. i K.	19 **N 3 Postu** Chrys.

Zmiany księżyca (w marcu).

Ostatnia kwadra d. 2 o g. 8 m. 13 wieczór. Nów d. 9. o g. 1 min. 38 po południu. Pierwsza kwadra d. 17 o g. 3 m. 10 rano. Pełnia d. 25 o g. 2. m. 28 rano.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“